

Hanna Bakula

HANIA BANIA



Hanna Bakuła

HANIA BANIA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2025

ISBN: 978-83-68384-06-2

Tekst: Muza, Warszawa 2007

Babci i Mamusi

Dziękuję Ani i Wojtkowi Wachmillerom

Spis treści

Śniadanie
Wigilia
Królowa Śniegu
Taniec i miłość
Szambo
Wiosna Hani Bani
Urodziny
Wielkanoc
Koszenie tulipanów
Pierwsze wakacje
Fryzjer Waś
Pęknięte serce
Lato Hani Bani
Imieniny
Sierpień
Szkola

[Książka kucharska Hani Bani](#)

Chleby, makarony, placki
Zupy
Dodatki i dania
Przekąski
Desery

Śniadanie

Gdy Hania Bania weszła do kuchni, otwierając białe lakierowane drzwi, poczuła nienawistny zapach kożucha na mleku. Dobiegał z zachłapanego aluminiowego rondelka z czarnymi uszkami. Mleko jak zwykle było wykipione na żeliwną płytę kuchni węglowej i śmierdziało spaloną na amen krową.

Była to kuchnia przedwojenna, z białych kafli, z których jeden pękł na skos. Błat okalał niewysoki murek przykryty szkłem; na nim leżały zapalki i ogarek świecy na wszelki wypadek. Koło rondelka skwierczała złowrogo wielka stara patelnia pełna domowego rosołowego makaronu produkcji Babci, która właśnie odsmażała go na maśle.

Jak co rano Hanię Banię przeszły ciarki na myśl o tym, że będzie musiała zjeść cały makaron i wypić całe mleko z wielkiego, wyszczerbionego, pękatego kubka z namalowaną różową różyczką. Babcia ucałowała Hanię Banię jak zawsze, malutka, ale groźna, gdyby Hani przyszło do głowy nie zjeść tego, co nieuchronnie odgrzewała. Była dziewiąta rano. Przez duże okno kuchni wlaził poranek. Na podwórku smętnie kiwały się krzak jaśminu i stara śliwa w warzywnym ogródku. Śnieg wyparował, pozostawiając brudne szarobiałe wysepki na trawniku. Okno było podwójne. Pomiędzy szybami leżała biała wata, którą było uszczelnione.

Poranek był lodowaty w przeciwieństwie do mleka i makaronu, który Babcia, pogwizdując coś przedwojennego, postawiła na ceracie w brązowe i białe kwadraty, przetartej na rogach wielkiego jadalnego stołu z szufladą pośrodku. Były w niej różne ciekawe rzeczy. Śrubki, wiertarka ręczna z cieniutkim wiertłem, suwmiarka do mierzenia małych dziurek, motek drutu, kłębek sznurka, piłka do metalu. Pachniało pięknie żelazem. Niestety nie było to do zabawy. Makaron i mleko też nie, choć do jedzenia się nie nadawały ze względu na to, że były piekielnie gorące. Babcia Hani posiadała bowiem niezwykłą umiejętność podgrzewania wszystkiego do hutniczych temperatur. Dlatego też zwykle w rodzinie rozpoczynało się konsumpcję posiłku minimum pół godziny po podaniu. Dziś było podobnie, dlatego Babcia, nie tracąc czasu, sięgnęła po wielki brązowy grzebień i rozpoczęła czesanie długich, jasnych, gęstych włosów, którymi porośnięta była, chwała Bogu, tylko głowa Hani Bani.

Z przyzwyczajenia Hania wyrывała się, lekko sycząc na wszelki wypadek, gdy grzebień wyrąbywał prosty przedziałek pośrodku fryzury. Po chwili ostrego bólu był gotowy i Babcia mogła energicznie zabrać się do plecenia dwóch identycznych warkoczy, których końce okręciła gumką recepturką i podwinęła jak precelki. Wystarczyło zawiązać dwie kraciaste, taftowe kokardki i już Hania Bania była gotowa. Babcia patrzyła z zadowoleniem na swoją solidnie zbudowaną wnusię.

Było na co. Hania poliki miała różowe, czarne oczy i garbaty duży nos. Uszy zresztą też duże, choć przylegające. Dla rodziny była normalnej wielkości, dla innych podobno duża, choć nie tłusta, a raczej – jak mówiła ciocia Amelia – trochę zbyt nabita. Hania, patrząc z kolei na Babcię stojącą naprzeciwko w lnianym fartuchu z dużą kieszenią, zauważyła, że jest od niej trochę wyższa, choć ma dopiero niecałe sześć lat. Babcia w ogóle była drobna, oczy miała szare, włosy kasztanowe spięte w kitkę, stopki maleńkie, a w ustach przeważnie cygarniczkę z papierosem, którą na chwilę wyjęła, żeby sobie trochę pogwizdać.

– Siadaj, Haniu – poprosiła grzecznie i mocno pchnęła ją na przedwojenne, kremowo lakierowane krzesło z okrągłą poduszką na siedzeniu. Sama przycupnęła obok i zaciągnęła się w milczeniu resztką papierosa. Nad stołem uniósł się śmierdzący błękitny dymek. Hania Bania w tym czasie rozważała możliwości ucieczki, kopiąc stary kuferek stojący pod stołem. Patrzyła w ścianę niewidzącym wzrokiem, gdy nagle w jej usta wpadł widelec z nakręconym zwitkiem makaronu. Zostawił makaron i uciekł. Tuż za nim do ust przylgnął kubek z tłusciutkim mlekiem z pianką i fragmentem twardego żółtego kożucha. Hania Bania połknęła

to świństwo odruchowo i czknęła demonstracyjnie. Babcia, nie zwracając na to najmniejszej uwagi, nawijała następną porcję. Tym razem przypaloną. Tego było za wiele. Hania Bania postanowiła zrobić bułę, czyli upchnąć makaron w policzki, a potem wypluć, gdy tylko nadarzy się okazja. Za następnym razem się udało. Makaron wypełniał powoli najpierw usta, a potem całą głowę. Babcia była w ósmym niebie. Z dumą patrzyła szarymi oczami na ukochaną wnusię, która z trudem łapała oddech. Głowa Hani Bani stawała się coraz większa i większa, jak bania w kukielkowym teatrze. Widelec latał do i od głębokiego talerza, aż makaron się skończył.

– Teraz powiedz „dziękuję” – powiedziała Babcia.

Doskonale wychowana Hania powiedziała „dziękuję”, jak ją poproszono. Przy „dzię...” wyskoczył makaron spod górnej wargi. Przy „...kuję” zaczęła wyskakiwać cała reszta. Część na Babcie, część na stół, pozostałość na nowiutki sweterek z paczki amerykańskiej przyniesionej przez domokrażną panią Mulisową. Sweterek był z granatowej welenki. Pod szyją miał białe paski, a zapinany był na dwa rzędy guziczków, też granatowych. Niedawno kupiła go Hani Mamusia z myślą o nadchodzącym, wyśnionym przez Hanię, pierwszym roku szkolnym. Hania znalazła go niedawno podczas swoich codziennych szperań w rzeczach dorosłych na dnie pięknie pachnącej ziołami, zwanymi bagno, szafy i wyżebrała natychmiastowe noszenie.

W tym momencie nie było to najważniejsze. Gdyby nie powiedziała „dzię...”, a potem „...kuję”, może udałoby się wyrzucić makaron do wielkiej doniczki, w której rósł figus. Wystarczyło go podnieść do góry, wypluć bułę z makaronu i postawić z powrotem. W doniczce było już sporo jedzenia, ale kwiat jeszcze się mieścił, kiedy Hania, wypływając co trzeba, przyklepywała ziemię. Dziś się nie udało. Babcia, kopiąc jak szalona, wycierała Hanię, siebie i ceratę na stole. Nie było to łatwe. Makaron żył własnym życiem. Piął się po ścianach jak bluszcz, owinał bojler z gorącą wodą, podsmażał się indywidualnie na gorącej blasze kuchni, wydając niewyobrażalny smród. Powoli okręcał nogi Babci jak straszliwe, niewolnicze pęta. Babcia ze ścierką stawała się podobna do makaronowej mumii. Hania Bania walczyła ze zwojami makaronu, który również ją chciał uwięzić i nakarmić na własny rachunek. Nie wiadomo też, jakim cudem cholerny makaron wydostał się do ogrodu, gdzie niczym chochoł okręcał nieporadny, łysy i brzydki zimą krzew jaśminu. Hania wraz z Babcią nie różniły się niczym od grupy Laokoona, usiłując wygrać w nierównej walce z porządnymi przysmażonymi paskami. Po stronie makaronu stanęła również porcja przygotowanych na deser kanapek z kielbasą, położoną na grubej warstwie masła, starannie pokrywającej duże pajdy wczorajszego białego chleba kupionego przez panią Stefę w spółdzielni. Fruwały po kuchni niczym pikujące samoloty, usiłując wepchnąć się w usta Hani i Babci, bo wszystko się im pokręciło. Kiedy jaśmin był już owinięty, makaron wziął się za śliwę rosnącą obok. Z garnuszka z czarnymi uszkami na płytę kuchni wylewały się litry bulgocącego mleka, śmierdząc jak najęte.

Wtedy Hania Bania obudziła się. Leżała, dygocąc z przerażenia, gdy do pokoju weszła Babcia, otwierając białe lakierowane drzwi. Hania poczuła nienawistny zapach kożucha na mleku. Dobiegał z zachlapanego aluminiowego rondelka z czarnymi uszkami.

Wigilia

Śnieg padał od rana wielkimi płatkami. Błękitne, grube naleśniki zwisały z dachów i drewnianych parkanów, ciemniejąc w zmierzchu, bo dochodziła czwarta po południu. Niebo pomału stawało się granatowe i gładkie, niby witrażowa szyba. Dom pachniał jak słownik zapachów salonowych i kuchennych. Pasta do podłóg, płyn do szyb na bazie denaturatu, воск do mebli, popiół z papierosów Babci, używany do czyszczenia sreber, lawenda sącząca swój zwodniczy zapach z komód pootwieranych, żeby wyjąć obrusy i serwetki, mieszały się z setką kuchennych nutek.

Hani Bani od wachania wyraźnie urósł nos, poruszał się w swoim rytmie, wchodząc w każdy kąt. Żałowała, że nie może być jednocześnie we wszystkich miejscach. Póki co w sypialni Dziadków układała na łóżkach białe ściereczki, żeby podsuszyć ciasto na domowy makaron, który później kłębił się jak włosy renesansowego anioła czy topielicy. Hania miała z makaronem na pieńku od lat, bo jadła go co dzień rano. Z niewiadomych powodów kochająca ją, jakoby, Babcia nie chciała słyszeć o zmianie menu i twierdziła, że makaron jest zdrowy i nietuczający, tak jak miód, dżemy i cukier. Tu Babcia przesadzała, Hania bowiem nieprzypadkowo nazywana była Banią i nawet Mamusia tak do niej mówiła przez zapomnienie, okraszając to nieśmiałym przepraszającym uśmiechem.

Zmrok zapadał szybko, więc Hania Bania zapaliła lampę poniemiecką ze skórzanym abażurem malowanym w kwiaty. Dziadek miał swoje zdanie co do pochodzenia skóry, ale wszyscy na niego krzyczeli, a Hania nie wiedziała, o co chodzi.

Pasta pachniała równie prześlicznie jak krochmalone ściereczki. Hania Bania pociągała swoim mięsistym, garbatym noskiem z rozkoszą. Z kuchni dobiegały zapachy duszonych na pasztet mięs, suszonych grzybów, owoców, wanilii, araku i mocnej, parzonej w przedwojennym dzbanku kawy, którą z przerwami na papierosa piła Babcia z kubka w sasanki.

Dziadek poszedł załatwiać ważne sprawy, czyli do swojego kumpla dyrektora szkoły na dereniówkę, Mama nie wróciła jeszcze z pracy, a Tatuś był na ćwiczeniach wojskowych i istniała szansa, że długo nie wróci.

Babcia z papierosem w fife dyrygowała jednoosobową orkiestrą, składającą się ze Stefy – podstarzałej córki pułku, służącej w rodzinie od wojny.

Stefa była wielkim wąsatym żołnierzem z bajki Andersena o krzesiwie. Mówiła basem, dłonie miała jak bochny, nogi jak kolumny kościoła, porośnięte gęstym, chrzęszczącym włosiem, i potrafiła w godzinę znieść kubłami tonę węgla do piwnicy. Dla niepoznaki nosiła wielką nieforemną suknię z falbanką i idealnie wyprasowany fartuch w biało-granatowe paski oraz kolczyki z imitacją szafirów. Włosy spinała w koczek wielkości pastylki od bólu głowy i miała dobre serce, choć mówiła do Hani: „panienko Baniu”, bez „Haniu”.

Hania Bania wróciła do kuchni, zwędziła z brytfanny tylny plaster pieczonego boczku i rozglądając się ciekawie, wprawnie połknęła cały. Pycha, oblizała serdelkowate paluszki. Stefa właśnie mocowała wielką przedpotopową maszynkę do mięsa na kuchennym blacie. Hania bardzo chciała pokręcić, ale trudno było wygryźć Dziadka, który robił to, odkąd pamiętała, z Babcią wkładającą wielkie kawałki wołowiny, wieprzowiny, pieczonego boczku, kury, cielęciny i wątróbki. Kręciło się trzy razy, wychodziło pięć kilo pasztetu. Hania zjadała co najmniej połowę. Nie było pewne, czy Dziadek po powrocie nie pójdzie od razu spać, ale należało poczekać, bo a nuż pokręci.

Ze ściany kołchoźnik ryczał Chopina. Melodia całkiem jej się podobała, bo przywykła do muzyki klasycznej. Poza nią nadawano ludową graną przez Feliksa Dzierżanowskiego, na strasznie dudniących instrumentach, od której bolały ją zęby, ale krótko, bo Dziadek od razu wyłączał radio. Jeszcze bardziej nienawidził orkiestry mandolinistów Edwarda Ciukszy, za

którą Hania Bania zdecydowanie przepadała i czekała tylko na odpowiedni moment, żeby poprosić o mandolinę. Wyobrażała sobie siebie na ławce w ogrodzie wydobywającą cudowne dźwięki malutką plastikową kosteczką. Na drzewach zamarłe z zachwyty ptaki, w drzwiach werandy Babcia i Mamusia ocierające łzy. Podobną scenę widziała w radzieckim filmie o wojnie, który skończył się źle, bo mandolinistka zginęła od bomby, na miejscu. Hania Bania myślała o tym, marząc o zwędzeniu odrobiny pieczonego schabu, który jednak stał za blisko dorosłych.

Pod sufitem paliła się piękna, secesyjna, miodowa lampa w kształcie tulipana. Pod żeliwnym blatem kaflowej kuchni szalał pomarańczowy płomień. Wielkie garnki z pięcioma mięsami ściagały się w zapachy. Tak z pewnością było w raju. Pałac jak szalona, Babcia wbijała trzydzieści ciemnych żółtek do wielkiej kamionkowej misy. Białka wprawnie lądowały w innej. Hania Bania wiedziała, że zanosi się na drożdżowe ciasto, najlepsze na surowo.

– Babciu, co pomóc?

– W czym? – powiedziała Babcia, purystka językowa, w zwojach błękitnego dymu. – Wyrzuc skorupki i przekręć makaron na ściereczkach, poza tym nie podjadaj i włóż fartuszek, albo idź się pobaw, do Wigilii jeszcze trzy dni.

Co prawda, to prawda, ale wszystko musiało być związane na ostatni guzik właśnie tyle wcześniej.

Hania zaplanowała wizytę w kuchni nocą, na spokojnie. Ciasto już wyrośnie, pasztet ostygnie, będzie można przekąsić. Na deser owoce z kompotu i kawałek szynki, którą właśnie Stefa wstawiała do pieca. Szkoda, że upieką makowiec dopiero jutro, i oby nie zamknęli kuchni, pomyślała przestraszona, ale przecież jest wejście przez piwnicę, rozjaśniła się jak pełnia, bo kluczyk miała pod szafą i to od dawna.

*

Rozległ się straszliwy rumor, to krzesło spadło z fotela stojącego na stoliku dostawionym do bielizniarki. Stolik złamał nóżkę. Łuup! – Hania Bania wylądowała boleśnie na przetartym perskim dywanie. Istniała możliwość, że jest za ciężka. Nie była to przyjemna myśl, więc odgoniła ją jak mola.

Od kilku dni rewidowała dom w poszukiwaniu prezentów. Nic. Mogli wynieść do cioci rezydentki, która mieszkała na piętrze, ale mały! W poprzednich latach zawsze znajdowała kryjówkę, choć dom był ogromny, pełen zakamarków.

Na szczęście od roku umiała pisać i mogła bezpośrednio poprosić Mikołaja o parę drobiazgów. Babcia obiecała pośredniczyć, choć czasami Mikołaj był głuchy i dawał zupełnie coś innego. W tym roku była nadzieja na komplet z listy. Długo wahała się pomiędzy koniem na biegunach a kolejką, taką jak w Pałacu Kultury. Wybrała konia obitego futrem, bo można się huścić godzinami, oglądając obrazki w książkach. Chciała jeszcze lalkę naguska, co zamyka oczy, widziała taką w kiosku, przeżabawnego pajaca z plastikową buzią wypchanego trocinami, nowego chińczyka, bierki, łyżwy śniegulki, sanki bez oparcia, skarbonkę, narty, kozuch zakopiański, skórzany tornister, farby plakatowe w słoikach i psa. W ostateczności mógł być kot, ale biały. Jeżeli gdzieś go schowali, mógł się udusić, a Wigilia dopiero jutro.

Hania zsunęła grube wełniane rajstopy i zauważyła, że kolano trzeba opatrzyć, ale jak wytłumaczyć kontuzję Stefie? Napluła na papier toaletowy i przykleiła do rany. Złamaną nóżkę stolika wstawiła idealnie na miejsce i szukała dalej.

Swoje prezenty dla dorosłych starannie ukryła w komórce na łopaty. Były to głównie obrazki i wyklejanki z dedykacjami, oprawione w bibułkowe ramki. Dla Mamy zrobiła fajne perfumy z pudru Babci, który stał na toalecie w pudełku z napisem Chanel, i wódki Dziadka.

Po dłuższym potrząsaniu prawie nie było grudek. Wyszła spora butelka. Mama będzie zachwycona. Dla Taty – wojskowego – miała sporą łuskę po niewypale znalezionej w lesie. Przywiozła ją w wózku dla lalek i umyła pod ogrodową pompą, jeszcze jesienią, i nie mogła się doczekać, kiedy Tato oszaleje z radości, bo była imponująca.

*

Obudziła się i zerknęła na wielkie filcowe kapcie z haftowanym kwiatkiem. W pokoju było jeszcze szaro i zimno, bo piec wygaśł. Hani Bani posiniała kufa, a też poliki, które wystawały spod pierzyny. Pachniało choinką, którą po południu ubierze z dorosłymi. Była wielka i szeroka. Dziadek przywiózł ją spętana na bagażniku roweru wczoraj wieczorem. Po przecięciu sznurka choinka osiągnęła średnicę koła parowca i zajmowała cały pokój. Po drodze Dziadek spotkał przyjaciół i wpadli na nalewkę do proboszcza. Awantura, którą tradycyjnie robiła Babcia, trwała do północy, ale Hania usnęła w połowie, bo prawie nic nie mogła zrozumieć, choć podsłuchiwała przez przystawioną do ściany cenną szklankę z NRD.

Wstanie było niebezpieczne, bo zimno odcinało stopę wysuwającą się spod balonowatej, kaczaj pierzynki, chluby Babci. Szary świt walczył ze śniegową bielą.

Wielki budzik z napisem Omega pokazywał dziewiątą. Stefa nakładała węgiel z drewnianej paki, stojącej w kuchni, do kubła, wydając charakterystyczne dla domowych poranków szuranie. Był to dźwięk przyjazny, znaczący, że Babcia zaraz po nagrzanu się pieca w jej sypialni sobie zapali.

Dzień Wigilii był niezwykły od pierwszej sekundy, choć nie wydarzyło się nic szczególnego. Hania Bania zerknęła z satysfakcją na stary fotel, z którego zwisała aksamitna pasowa sukienka z białym koronkowym kołnierzykiem, uszyta przez ciocię krawcową na ten wieczór. Sukienka wyglądała jak okazała kapa na konia toreadora, bo Hania znowu urosła i prawdę mówiąc, utyla, miała bowiem mnóstwo kochających cioć częstujących ją ciastem i krówkami. Ciociami nazywała wszystkie sąsiadki i koleżanki Mamy. Niektóre ciocie były prawdziwe, ale starała się ich nie faworyzować.

Desperacko wyskoczyła z ciepłego łóżka. Zimny wąż oplótł jej nogi i szyję. Wpełzł pod flanelową długą koszulkę nocną i wgramolił się na siny nos. Popędziła do ciepłej kuchni, którą Stefa rozpaliała od rana, żeby nagrzać bojler z wodą na kąpiel.

Kuchnia wyglądała jak delikatesy w Warszawie. Przykryte pergaminem ciasta z lukrem i pomarańczową skórką, którą można niepostrzeżenie oddłubać i połknąć, pasztety do góry nogami na drewnianych deskach, wielka szynka w żeliwnej brytfannie. Miski z pierogami przykryte płaskim talerzem. Waza z kompotem z suszu i wielki pachnący śliwkami garnek bigosu prawie czarnego od czerwonego wina, który gotował się od tygodnia. Trochę go ubyło, bo Hania Bania chętnie sprawdzała nocą, czy jest dobry. Ryby w galarecie stały na podłodze w spiżarni i nie było jak ich napocząć, a szkoda.

Usiadła przy stole, na którym w ogóle nie było miejsca, i zwędziła zimnego pieroga z kapustą. Te z mięsem też pyszne, więc zjadła dwa. Właśnie kombinowała, jak uskubać kawałek szynki bez naruszania skórki, kiedy Stefa postawiła przed nią wielki talerz z trzema pajdami czerstwego chleba z masłem i dżemem domowej roboty. Kanapki były wielkości kajaków na rzece Rządzy, których zazdrościła posiadaczom, choć nie nalegała na przejażdżkę. Miała przecucie, że się nie zmieści w poprzek.

Obok talerza z hukiem wylądował kubek mleka z grubym kożuchem w kolorze żółtego sera.

Hania najpierw zlizwała dżem, potem masło. Stefa odwrócona tyłem kroila jarzyny z rosołu na sałatkę. Łyse kromki wyglądały żałośnie, ale Hania obgryzła flakowate skórki. Chleb postanowiła jak zwykle schować do kieszeni szlafrocza z koca. Mars na pewno zje, o ile wygrzebie się ze swojej wielkiej budy z wejściem zasłoniętym szmatą.

Co robić w Wigilię rano? Na sanki było za zimno. Termometr za oknem o mało nie pękł z dumy. Było, jak co roku, minus dwadzieścia.

W tej sytuacji przyjazd pociągiem podmiejskim cioci Lidki z wujkiem Stachem stał pod znakiem zapytania, co martwiło Hanię Banię, bo zawsze zabawnie kłócili się przy stole. Ciocia wybiegała na mróz w samej bluzce, a za nią cała rodzina. W tym czasie Hania upychała po kieszeniach cukierki z miski pod okrągłym lustrem. O ile nie przyjadą, wpadnie tylko ciocia Amelia, siostra Dziadka. Co to za Wigilia w sześć osób plus Stefa, która też siadała na chwilę? Hania martwiła się, że dostanie za mało prezentów. I tak chodziło jej głównie o kozuch, który widziała na wystawie u kuśnierza.

Brązowy jak kasztan, haftowany w szlaczki, obszyty barankiem, a do tego czapka. Napisała w tej sprawie list do Mikołaja i narysowała kozuch, żeby się nie pomylił, a Babcia obiecała ją poprzeć.

Były to czasy wątpliwości. Mikołaj, który wpadł w zeszłym roku, podobny był z butów do męża cioci Joli. Poza tym ewidentnie był pijany, a święci podobno nie piją, choć śpiewają. Mikołaj sprzed dwóch lat miał głos wujka Stacha, który podczas rozdawania prezentów wyszedł pogadać z psem.

O! Hania Bania zapomniała przejrzeć teksty kolęd. Rok ich nie widziała. Założyła specjalny zeszyt, w którym miała zapisane słowa. Przy każdej wklejała zdjęcie aktorki wycięte z pisma „Film”, które czytała Mamusia. Zeszyt leżał w skrytce za szafką nocną, choć nie było w nim nic do ukrycia, ale Hania usłyszała kiedyś, że kobiety mają swoje tajemnice, i też postanowiła mieć.

Mama jeszcze była w pracy, Tata i Dziadek zdejmowali z półek w spiżarni wielkie pudła z przedwojennymi zabawkami i świecidełkami. Oprócz nich co roku Hania z Mamą robiły nowe, a do tego parę metrów łańcucha z kolorowego papieru, na którego widok Babcia wzdychała głośno, tak się jej podobał.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI